



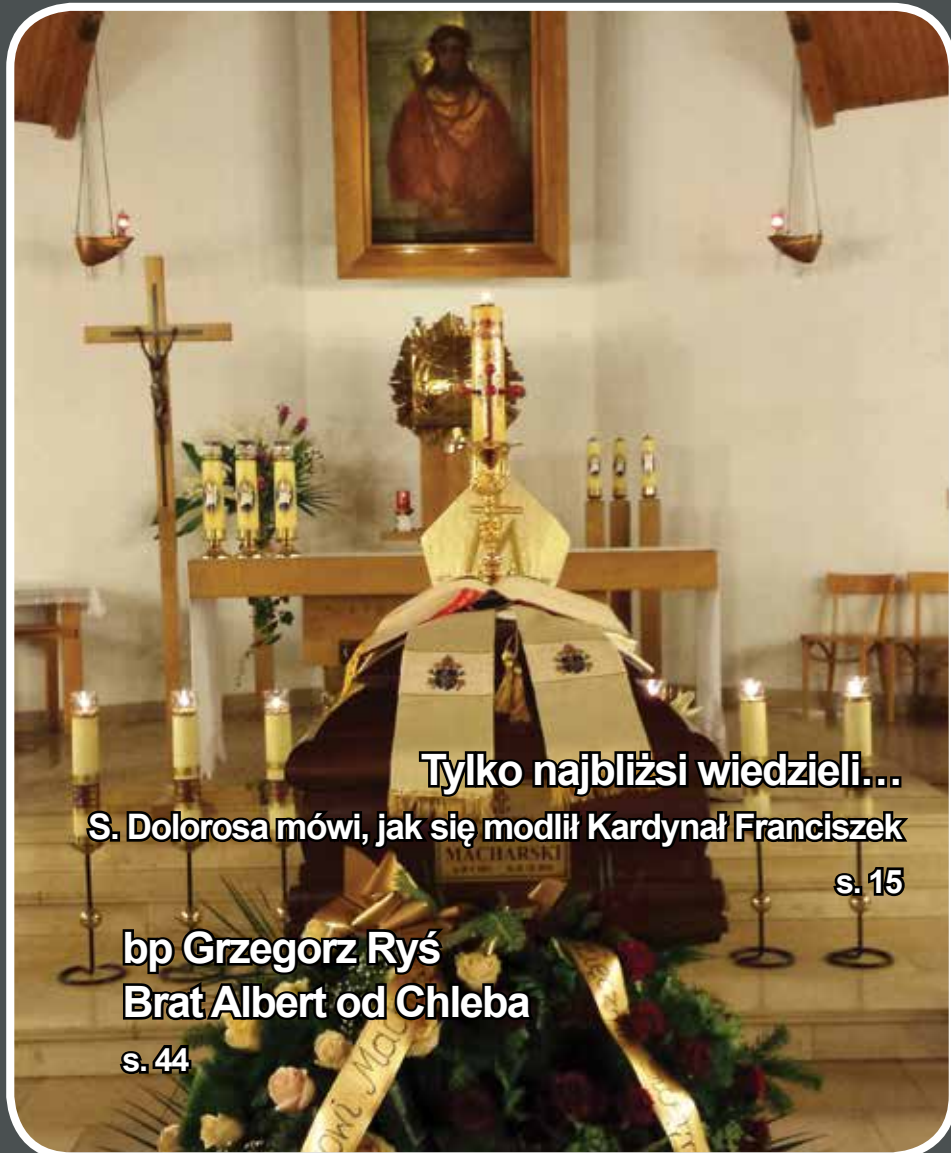
GŁOS BRATA ALBERTA



nr 3 (86)

ISSN 2084-4360

jesień 2016



Tylko najbliżsi wiedzieli...

S. Dolorosa mówi, jak się modlił Kardynał Franciszek

s. 15

**bp Grzegorz Ryś
Brat Albert od Chleba**

s. 44



Przy trumnie
Kardynała Franciszka
więcej s. 29

WYDARZENIA

- ...u sióstr i braci 2
...w Towarzystwie Pomocy 9

MISJE

- Codziennosc czy cud? 12
Tylko najblizsi wiedzieli... 15
Przy trumnie Kardynała Franciszka 29
Błogosławiona Bernardyna Jabłońska... 34

OKIEM I SERCEM

- „Nad rzeką” 39
Odzyskany 41
Brat Albert od Chleba 44
Do rodziny 48

Głos Brata Alberta

Kwartalnik

adresowany do czcicieli św. Brata Alberta i wszystkich, którzy czerpią z jego ducha

Wydawca: Zgromadzenie Sióstr Albertynek; współpraca: Zgromadzenie Braci Albertynów, Towarzystwo Pomocy im. św. Brata Alberta. **Redakcja:** albertynka s. Agnieszka Koteja. **Współpraca:** albertyn: br. Kamil Szymański, TPBA: p. Małgorzata Sieńczyk. **Adres:** Woronicza 10, 31-409 Kraków. **E-mail:** glosbrata@wp.pl



...u siostr i braci

Odpust św. Brata Alberta

17 czerwca br. w Sanktuarium Ecce Homo przeżyaliśmy odpust ku czci św. Brata Alberta. Do grobu swojego patrona pielgrzymowali uczniowie i nauczyciele ze Szkoły Podstawowej Nr 3 w Skawie oraz Gimnazjum Nr 13 w Krakowie. Pracownicy, wolontariusze i podopieczni Caritas Archidiecezji Krakowskiej na czele z ks. dyr. Bogdanem Kordulą uczestniczyli we Mszy św. połączonej z wręczeniem pamiątkowych dyplomów dla osób szczególnie zasłużonych. Główne uroczystości odbyły się pod przewodnictwem kard. Stanisława Dziwisza, który w homilii zaznaczył, że decyzja o pójściu za Chrystusem wcale nie oznaczała łatwej drogi, ale powolną ścieżkę dojrzewania duchowego, która dała niezwykle owoce. Charyzmat Brata Alberta okazał się tak bardzo przejrzysty, tak bardzo ewangeliczny, że zafascynował nim innych i pociągnął ich do wkroczenia na podobną drogę służby.

Nowa placówka w Rzymie

Dnia 1 lipca 2016 r. powstała w Rzymie nowa placówka naszego Zgromadzenia. Do posługi zostały skierowane trzy siostry: s. Wioletta, s. Dobrawa oraz S. Rafaela. Siostry pracują w „Miasteczku Miłosierdzia” (*Cittadella della Carita*), które jest ważnym centrum działalności charytatywnej Caritas diecezji rzymskiej. Głównym miejscem posługi siostr jest przytulisko dla bezdomnych pw. św. Hiacynty. Docelowo zamieszkuje tam



85 osób (mężczyzn i kobiet głównie pochodzenia włoskiego). W Miasteczku znajduje się mały kościółek pw. św. Hiacynty, w którym sprawowana jest liturgia dla podopiecznych, wolontariuszy i pracowników. Na terenie Miasteczka działa również centrum szkolenia wolontariuszy, mini bank dla ubogich (udziela niewielkich pożyczek finansowych głównie dla rodzin), trzy gabinety stomatologiczne oraz mini market spożywczy, w którym potrzebujący zarejestrowani w Caritas mogą kupować potrzebne artykuły za pomocą karty magnetycznej ładowanej na tzw. punkty. Oprócz przytuliska działa również noclegownia i stołówka dla głodnych. Wolontariusze dowożą także posiłki do osób samotnych i ubogich poza Miasteczkiem, w środowisku udzielana jest też profesjonalna pomoc medyczna.



Zmarł Brat Serafin

W dniu 2 lipca 2016 w krakowskim szpitalu im. J. Dietla zmarł brat Serafin – Albin Zagata, albertyn. Brat Serafin urodził się 24.02.1962 r. w Ostrowku, w powiecie nowotarskim. Po ukończeniu szkoły zawodowej (specjalność: ślusarz), odbyciu służby wojskowej i kilku latach pracy zawodowej w roku 1985 wstąpił do Zgromadzenia Braci Albertynów. Pierwszą profesję zakonną złożył w 1988 roku, a wieczystą w 1994 roku. Brat

Serafin posługiwał wśród ludzi bezdomnych i osób niepełnosprawnych, a w ostatnim czasie w Domu Pomocy Społecznej w Ojcowie. Przebywał również w domach pustelniczych Zgromadzenia na Kalatówkach oraz w Częstochowie (tam pełnił funkcję przełożonego). Jego pasją były skoki spadochronowe. Od kilkunastu lat ciężko chorował (choroba nowotworowa). W tym czasie dał przekonujące świadectwo chrześcijańskiej radości i zawierzenia Bogu. Dopóki siły fizyczne mu pozwalały włączał się w posługę potrzebującym.



Śluby wieczyste

We wspomnienie Matki Bożej z Góry Karmel, 16 lipca br., sześć sióstr albertynek – s. **Ksenia**, s. **Benedykta**, s. **Józefa**, s. **Faustyna**, s. **Boguchwała** i s. **Marta** – złożyło śluby wieczyste podczas Mszy św., której przewodniczył abp Marek Jędraszewski, metropolita z Łodzi.

W homilii abp Jędraszewski przypomniał, że ewangeliczne Błogosławieństwa są doskonałym wypełnieniem Dekalogu i wskazują na to, jak ma wyglądać życie uczniów Chrystusa. Są powołaniem, które realizuje się przez wiarę, dzięki udziałowi w tajemnicy paschalnej Chrystusa. W zamysle Bożym każdy ma do spełnienia

wyjątkową rolę. Osoba powołana ma być wyraźnym drogowskazem, ma być solą ziemi i światłem świata. To Bóg nas wybiera, abyśmy szli i przynosili owoc. Siostry poprzez śluby zostały przez Jezusa zaproszone do przyjaźni i miłości, do szczególnego oddania się Jemu.

Po podpisaniu na ołtarzu formuły ślubów siostry otrzymały zewnętrzny znak wieczystej profesji – krzyż, który odtąd będzie im przypominać o całkowitej przynależności do Oblubieńca – Jezusa Chrystusa Ukrzyżowanego.



ŚDM na Woronicza

Tysiące młodych ludzi ze wszystkich kontynentów, różnego koloru skóry, różnych kultur i narodowości podczas Światowych Dni Młodzieży świadczyły, że chcą żyć w zgodzie, pokoju i Chrystusowej miłości. Przyżywając święto młodości, pragnęli zaczerpnąć u źródła i zanieść iskrę miłosierdzia całemu światu. By pomóc im w doświadczeniu prawdziwego spotkania i otwarciu się na słowa papieża Franciszka, 10 sióstr albertynek oprowadzało po Sanktuarium Ecce Homo grupy w różnych językach – polskim, angielskim, hiszpańskim, włoskim i niemieckim. Wspomagane były przez wolontariuszy, którzy również przez wszystkie dni pełnili dyżury, przekazując informacje o sanktuarium i naszych Założycielach w ramach Miasta Świętych. Siostry pełniły adoracyjne dyżury w sanktuarium oraz dbały o przygotowanie ołtarza i paramentów liturgicznych do Eucharystii. Każdego dnia w sanktuarium i dwu kaplicach zakonnych sprawowane były Msze św. w różnych językach. Codziennie odbywały się katechezy dla 140-osobowej grupy japońskiej. Poza czasem katechez Sanktuarium odwiedziły różne grupy: 700-osobowa grupa ze Szwajcarii, 150-osobowa grupa młodzieży franciszkańskiej z Włoch, 120-osobowa grupa kapłanów z Opus Dei, 130-osobowa grupa





młodzieży z Tanzanii, 120-osobowa grupa z Panamy, międzynarodowa 150-osobowa wspólnota Cenacolo, 30-osobowa grupa z Kanady, dwie kilkudziesięcioosobowe grupy ze Stanów Zjednoczonych, wiele grup z Polski oraz niezliczeni i nierejestrowani indywidualni pielgrzymi i mniejsze grupy młodzieży.

Ponadto cztery siostry promowały Zgromadzenie w boksach powołaniowych na stadionie Cracovii, dwie siostry opiekowały się namiotem eucharystycznym na Campus Misericordiae w Brzegach i dwie prowadziły katechizację o św. Bracie Albercie dla grup anglojęzycznych podczas „Mercy Festival” na Tauron Arenie.

Albertyńska ul. Woronicza „oddychała dwoma płucami”, goszcząc i karmiąc pielgrzymów pod numerem 10 i pod numerem 3b. Siostry pełniły nocne dyżury, by wszystkie zbłąkane owieczki, trafiające na nocleg także o nocnej porze, mogły dostać się do środka i nie szły spać głodne. W naszych domach (ale także: w namiotach i pod wiatą) znalazło schronienie ok. 370 osób z różnych stron świata: Sisters of Life z USA – 42 osoby, Misjonarki Miłości – 47 osób, z USA – 55 osób, z Chile – 18 osób, z Niemiec 10 osób, z Panamy 11 osób, z Tanzanii 7 osób oraz ponad 200 osób z różnych stron Polski.

Gdy tylko było to możliwe, fizycznie albo za pośrednictwem mediów, siostry

uczestniczyły w spotkaniach z Ojcem Świętym Franciszkiem, w wielkim wydarzeniu i doświadczeniu jednego i powszechnego Kościoła, ciesząc się jego żywotnością i pięknem. Światowe Dni Młodzieży były wielką manifestacją wiary młodzieży z całego świata. To był wybuch radości i szczęścia ze spotkania Jezusa, spotkania z Ojcem Świętym i z tymi wszystkimi ludźmi, którzy na to święto wiary przyjechali.



Kardynał Franciszek odszedł do Pana

2 sierpnia o godz. o 9³⁷ Kardynał Franciszek Macharski odszedł do Pana. Zmarł w krakowskim Szpitalu Uniwersyteckim, gdzie odwiedził go Ojciec Święty Franciszek. Miał 89 lat.

Jedenaście lat, od 4.08.2005 roku mieszkał w naszym domu, w „Chatce” naprzeciw Sanktuarium Ecce

Homo. Będąc na emeryturze, nadal służył Kościołowi, wspierając go swą modlitwą, spotykając się z ludźmi, przewodnicząc liturgii, dzieląc się swą mądrością i doświadczeniem. Przez kilka pierwszych lat, szczególnie w niedziele, sprawował Mszę św. w Sanktuarium oraz przewodniczył uroczystościom Zgromadzenia. Do relikwii św. Brata Alberta często prowadził swych gości.





Wieczorem w dniu śmierci Kardynała Eucharystia w sanktuarium Ecce Homo rozpoczęła czterodniowe uroczystości pogrzebowe Kardynała Franciszka. Mszy św. przy trumnie śp. ks. kard. Franciszka przewodniczył bp Jan Zając. Współkoncelebrowało około 35 kapłanów. Homilię wygłosił bp Grzegorz Ryś. We Mszy św. uczestniczyło tyle osób, że wiele z nich musiało pozostać na zewnątrz kościoła. Wierni mogli oddać hołd Zmarłemu i pomodlić się do godz. 23⁰⁰.

Następnego dnia żegnano Kardynała w bazylice Ojców Franciszkanów, skąd 4 sierpnia odprowadzono jego ciało w kondukcie pogrzebowym na Wawel. 5 sierpnia 2016 r. o godz. 11⁰⁰ na placu przed Katedrą na Wawelu w uroczystościach pogrzebowych, którym przewodniczył kard. Stanisław Dziwisz, uczestniczyli polscy biskupi, najwyższe władze państwowe i tysiące wiernych. Po Mszy św. trumna z ciałem Kard. Franciszka została złożona w krypcie biskupów krakowskich.

więcej na s. 15 (świadcstwo s. Dolorosy i homilia bp. Grzegorza)



...w Towarzystwie im. św. Brata Alberta

Spotkanie u Brata Alberta

Doroczna pielgrzymka do Sanktuarium „Ecce Homo” w Krakowie to jedyne w roku tak liczne spotkanie społeczności Towarzystwa. W sobotę 11 czerwca 2016 r. do Krakowa przybyło 870 osób z 33 kół, w tym 338 podopiecznych. Grupom towa-

rzyszyło 9 księży i 1 siostra zakonna. Jak co roku była też delegacja TIS w Leśnej.

Centralnym punktem dnia była Eucharystia pod przewodnictwem JE Ks. Bpa Edwarda Janiaka – Asystenta Kościelnego Towarzystwa, koncelebrewana przez kapłanów kół.

Homilia, wygłoszona przez Celebransę, rozwijała się wokół postaci trzech świętych: o. Papczyńskiego, Brata Alberta i Jana Pawła II.

W procesji z darami każde Koło niosło chleb. Tymi chlebami dzieli-





liśmy się na zakończenie Mszy św. – aby pamiętać by „Być dobrym jak chleb ...”. Oprawę muzyczną zapewniła schola Koła Wrocławskiego.

Po Mszy św. na uczestników pielgrzymki czekał posiłek. Bardzo gościnne i skromne siostry Albertynki jak co roku przygotowały bigos, chleb, drożdżówki, kawę i herbatę, wydawane w specjalnie zorganizowanych punktach.

W tym roku dodatkową atrakcją była sycąca zupa ugotowana wg rodzinnego przepisu JE Ks. Bpa Edwarda Janiaka w ramach Kampanii Pomagamy ze smakiem.

Sprawną organizację i obsługę techniczną zapewniło Koło Dębickie oraz Koło Katowickie.

Peregrynacja Krzyża św. Jana Pawła II

„Witaj, Krzyżu,
nadziejo nasza jedyna”

W programie duszpasterskim z okazji 35-lecia Towarzystwa bardzo ważnym punktem jest Peregrynacja Krzyża św. Jana Pawła II.

Peregrynacja rozpoczęła się 20 sierpnia we Wrocławiu. Zakończenie peregrynacji będzie mieć miejsce w dniu 28 grudnia 2016 r. w Krakowie w kościele Bożego Ciała podczas uroczystej Mszy św. w 100. rocznicę pogrzebu św. Brata Alberta.

Krzyż ten Jan Paweł II trzymał w rękach podczas ostatniej swojej Drogi Krzyżowej w Wielki Piątek w 2005 r. w rzymskim Koloseum.



Jan Paweł II nie mógł już w Drodze Krzyżowej uczestniczyć osobiście, jednak brał w niej udział za pośrednictwem telewizji trzymając w rękach Krzyż. Wziął go w swoje ręce, ucałował i tulił się do niego, a potem powiedział: „I ja także ofiaruję moje cierpienia, aby dopełnił się Boży plan”. Zmarł tydzień później, w dniu 2 kwietnia 2005 r.

Peregrynacja Krzyża Ojca Świętego Jana Pawła II, jego adoracja przez wiernych w Kołach Towarzystwa Pomocy im. św. Brata Alberta, będzie poprzedzać rozpoczęcie roku szczególnego dla nas Roku Św. Brata Alberta.

Niech wędrowanie krzyża papieskiego w tym okresie stanie się okazją do ożywienia i pogłębienia naszej wiary i ufności.

Terminarz peregrynacji dostępny jest na stronie <http://bratalbert.org/peregrynacja-krzyza-sw-jana-pawla-ii.html>





Codziennność czy cud?

s. Samuela Czechowska

Różne są ludzkie drogi: wyboiste i trudne, gładkie i łatwe, tak zatłoczone, że nosa nikomu nie widać, tak bezludne, że ptaki po nich bezpiecznie spacerują. Są takie, które się urywają i nie wiadomo co dalej, są tak długie, że można iść i iść, i wciąż trzeba iść dalej. Są drogi polne i leśne, w obłokach i po „kocich łbach”.

Czasem człowiek zatrzyma się nagle, opuści ręce jak bezradny drogowskaz i zapyta: Skądże mam znać dalszą drogę? Jeśli nie wiesz dokąd iść, droga sama cię poprowadzi. Zapytaj wtedy Jezusa, a On pokaże Ci Twoją drogę.

Różne są drogi, ale ta, na której spotykam Jezusa, jest moją własną drogą. Czy będzie z jednym cierniem, czy cała ciernista, z jednym tylko krzyżem, czy z wszystkimi krzyżami po kolei – będzie to droga wiary w Boga.

Jan Twardowski,
„Myśli na każdy dzień”

Pozdrawiam Was wszystkich z naszej dalekiej i już jesiennej Syberii. Lato u nas krótkie, w lipcu odczuwaliśmy wielkie upały, teraz jest dużo deszczu i coraz chłodniej. W czerwcu i w lipcu byliśmy z dziećmi na kilkudniowych wakacjach z Bogiem nad jeziorem Bajkał, mieszkaliśmy tam w domu rekolekcyjnym w Listwiance. Pogoda nam dopisała, dni mieliśmy wypełnione poprzez różne spotkania i zajęcia. Dzieci wróciły do domów szczęśliwe i zadowolone. Może to się wydawać dziwne, ale podczas pobytu nad Bajkałem – ponieważ dzieci najczęściej biegały na bosaka – zaczęłam obserwować ich dziecięce stopy. Dziecięce stopy najczęściej kojarzyłam z jedwabistą skórą, maleńkimi bucikami z wystaw sklepowych, skarpetkami w pastelowych kolorach z Kubusiem Puchatkiem lub innymi dziecięcymi motywami. Tutaj poznaję je na nowo.



Dziecięce stopy mają rany – małe draśnięcia niczym ślad długopisu, kropki, kropeczki, otarcia. Czasem odkrywam rany głębokie, jak szczeliny w skale. Dziecięce stopy – odczytuję je codziennie. Opowiadają więcej niż niejedna książka przygodowa. Mówią o drodze, o radości i bólu, o trosce rodziców lub jej braku, o biedzie lub zaniedbaniu. Te dziecięce stopy tupią, skaczą, biegają, kopią piłkę. Ocierają się o szorstkie kamienie. Na liczniku mają miliony kroków. Czasem odbijają się lekko jak piłeczka lub walczą z ciężarem brata lub siostry na plecach. Patrzę na nie codziennie. Droga rzeźbi stopy. Stopy zostawiają ślady na drodze. Dziecięce stopy odbijają też ślady na moim sercu. Codziennie.

Na misjach są chwile, kiedy człowiek rozplywa się ze szczęścia, emanuje wewnętrzną radością, ale są też takie, kiedy powątpiewa w to, co robi. Czasem zmęczenie fizyczne daje tak o sobie znać, że choć byśmy chcieli, nie umiemy dać 100% siebie. Czasem człowiekowi wydaje się, że wcale nie jest tu potrzebny i inni poradziliby sobie świetnie bez niego.

Pomaganie jest trudne szczególnie dla ludzi innej kultury, innych obyczajów i mentalności. Często to, co dla nas może się wydawać zbawienne, dla tutejszych ludzi może być mało istotne. Nasza wizja udanego życia jest tylko naszą subiektywną wizją udanego życia. Dlaczego więc warto pomagać?





Bo dobroć jest najsilniejszą bronią, która może zmieniać świat i życie tych dzieci na lepsze. Bo chociaż często nie widzimy materialnych efektów naszej pracy, to nawet nie zdajemy sobie sprawy, jak wiele możemy zmieniać w sercach.

Warto pomagać, żeby Wika mogła codziennie zjeść normalny posiłek. Warto pomagać, żeby Ruwim zdał egzaminy i miał poczucie, że sam na to zapracował. Warto pomagać, żeby odrzucone dziecko poczuło, że jest ktoś, dla kogo jest ważne.

Wszędzie są ludzie, którzy potrzebują naszej pomocy, a my nawet nie zdajemy sobie sprawy, jak wiele możemy zmienić, jeśli nasza pomoc będzie wypływać z dobroci serca. Warto chociażby dla jednego uśmiechu. Cóż może być piękniejszego, niż dawanie komuś radości? Widok uśmiechniętych twarzy tych dzieci jest dla mnie jak dotyk anioła. Oddałabym za to wszystko.

Ten czas, kiedy świątynie były pozamykane, tak bardzo zdemoralizował i zniszczył w tych ludziach to, co szlachetne. Trzeba dużo czasu i cierpliwości, aby pomóc im znaleźć Boga i uwierzyć Mu do końca.

Bardzo dziękujemy Wam za wszelką pomoc. Serdecznie pozdrawiamy i zapewniamy o naszej modlitwie.

s. Samuela

nr konta bankowego na pomoc dzieciom Syberii:
92 10202892 0000590200227181



Tylko najbliżsi wiedzieli...

S. Dolorosa mówi o modlitwie Kardynała Franciszka

„Bliscy wiedzieli, jak Kardynał przeżywał Mszę św.”, mówił bp Grzegorz. Ale nie wszyscy patrzyli na to z bliska. Siostra Dolorosa Kilnar przez pięć lat (od trzech lat wraz z siostrą Miriam Łopuszyńską) była najbliższą. Poprosiłam, by opowiedziała, jak Ksiądz Kardynał się modlił – wtedy, gdy już rzadko wychodził z domu i Mszę św. odprawiał w pokoju-kapliczce „Chatki” przy sanktuarium Ecce Homo.

(W tekście zachowano język mówiony, by w niczym nie naruszyć przekazu świadka, który ma jeszcze w oczach żywy obraz tego, o czym mówi).

Przeżywanie Eucharystii przez Księdza Kardynała nie było nigdy przeżywaniem tylko w czasie Eucharystii. Zawsze najpierw było przygotowanie, które zaczynało się już dzień wcześniej. To było zawsze najważniejsze pytanie dnia. Gdy przychodziły już różne choroby, dolegliwości, było to pierwsze i najważniejsze pytanie na jutro: o Eucharystię – „jeśli Pan Bóg da”. Zawsze: „Jeśli Pan Bóg da”. A rano nigdy nie było tak, żeby wstał i od razu szedł na Eucharystię, tylko zawsze najpierw była modlitwa przed Msza świętą.

Tą modlitwą był też brewiarz. Czasem było tak, że fizycznie nie mógł go skończyć, Jutrznia zajmowała Mu godzinę i dłużej. Bo Ksiądz Kardynał zaczynał brewiarz i od razu wchodził

w inną Rzeczywistość, rzeczywistość modlitwy takiej, że... On nigdy nie odmawiał z nami modlitwy brewiarzowej na głos, bo by po prostu nie wytrzymał tej płynności, tempa mówienia. Gdy w ostatnim czasie przychodzili do koncelebry księża, to nieraz nie zdążał, i wtedy z takim bólem rezygnował, przerywał, żeby się przygotować bezpośrednio do Mszy świętej. A sama Eucharystia... Kilka lat temu do koncelebry przyszedł bp Grzegorz, gdy czytałam lekcję Kardynał był już w takim stanie... jakby był już gdzie indziej przeniesiony... Nie „jakby”, to było widać na Jego twarzy fizycznie! Mnie też w takich momentach nigdy łez nie brakowało... Biskup tylko patrzył, jak myśmy w tym brnęli... „i teraz co...?”. To były takie sytuacje wyjątkowe.



Fotografie ze zbiorów s. Dolorosy



Mam świadomość, że patrząc na Kardynała żyłam w Jego blasku, w Nim ten wymiar życia w Eucharystii był właściwie cały czas. Cały czas. To się nie ograniczało tylko do czasu Eucharystii albo dziękczynienia. Później, w czasie modlitwy, brewiarza czy w różnych sytuacjach w ciągu dnia nawiązywał do niej. Gdy w ciągu dnia był jakiś telefon czy sprawa, czyjaś potrzeba, coś się działo, to widziałam, jak On był jakby wrywany z „tego”, jakby „schodził”, bo „to” widać było nawet na Jego obliczu, na twarzy Księdza Kardynała. I to nie było jednorazowe, to było codziennie. Codziennie byłam świadkiem takiej modlitwy, takiego zanurzenia w Bogu.

Był człowiekiem ogromnie skupionym, nie było pośpiechu, roztargnienia. Był niezmiernie uporządkowany. To nie był człowiek, który wpada do kaplicy z telefonem. Zawsze przed Mszą nie było żadnych zbędnych rozmów. Jeśli była jakaś potrzeba, ktoś zapytał, to oczywiście odpowiadał, ale sam nie stwarzał żadnych zbędnych rozmów, ta przestrzeń modlitwy była już od samego rana. Msza święta była o godz. 9-tej, ale w Nim było to trwanie nieustanne. Tak samo ciężko było Mu wyjść po Mszy świętej z kaplicy. Wiadomo, że gdy przychodzili księża, to były rozmowy, jakaś kawa – Kardynał był gościnny, chciał każdego ugościć – ale widziałam, że





to dla Niego było zmaganie, że musi zostawić tę Przestrzeń, w której był, a wejść w rozmowy, które też były ważne.

Brewiarz odmawiał po cichu, czasem rzucił na głos jakąś myśl, rozważanie, ale też widziałam, że przy każdej Godzinie brewiarzowej wchodził w tę Przestrzeń. Kardynał był mistykiem, myśmy to widziały na co dzień. Łaski, których doświadczał, nie były czymś jednorazowym... tego się nie da wypowiedzieć.

Podobnie było z przeżywaniem spraw ludzi chorych, czyjegoś cierpienia. Ktokolwiek zwracał się do Księdza Kardynała z taką sprawą, przychodził jakiś list czy telefon – tego

było dużo! – nigdy nie było tak, żeby tylko przeczytał. On zawsze wchodził w sytuację tego człowieka z takim zaangażowaniem go w Sercu Jezusa. Zawsze się modlił, wstawiał za tymi ludźmi – to były cierpienia w różnym wymiarze, ale Kardynał zawsze starał się znaleźć w położeniu tego człowieka, nigdy to nie było tylko zewnętrzne załatwienie sprawy. Nieraz, gdy matki przysyłały opisy choroby dziecka, ktoś pisał o sprawach nowotworowych – ludzkie dramaty! – nigdy nie przechodził nad tym rutynowo. Wszystkie listy, które przychodziły do Księdza Kardynała (o tym już mówiono w mediach) zbierało się i po kilkanaście kładło się za mszał; i w tych intencjach odprawiał





Mszę św. Gdy czytał listy, zawsze się przeżegnał, błogosławił je – na wiele, większość listów się nie odpisywało, ale zawsze one były pobłogosławione i w tych intencjach była odprawiana Msza św., wszystkie były omodlone. Kardynał wchodził głęboko w problemy ludzkie, był ogromnie zaangażowany. Wszystko było przepojone modlitwą i przekładało się na miłość bliźniego. Trudno to nawet wyrazić.

Różaniec odmawialiśmy razem, na głos. Też było widać to zmaganie z mówieniem, było w Nim ogromne skupienie. Śpiewaliśmy też Gorzkie żale, różne pieśni... To nie było tylko śpiewanie. Także gdy spacerowaliśmy i widział piękno natury, to zawsze było wchodzenie w Stwórcę przez stworzenie. Nigdy nie szedł obojętnie, widział każdy szczegół, w kwiecie widział i podziwiał każdy pręcik, który był dla niego powodem radości, zachwytu nad Stwórcą, wchodzeniem w kontemplację – widziałam to także w czasie spacerów. Na spacer szedł zawsze z różańcem – nie było to nigdy tylko odmawianie, ale rozważanie, przechodził od tego co widział w rozważane tajemnice. Podobnie ze śpiewaniem. Kochał muzykę. Czasem sam coś podśpiewywał, czasem dołączał, gdy my nuciłyśmy coś przy domowych zajęciach, a czasem prosił, by zaśpiewać jakąś pieśń – niekoniecznie religijną, ale i pieśniami np. o przyrodzie On się modlił.



Odmawialiśmy także Koronkę do Bożego Miłosierdzia. Kardynał nigdy nie ograniczał miłosierdzia tylko do aspektu ludzkiego. Zawsze mówił: „nie stawiamy granic Bożemu Miłosierdziu!” – widział szerzej i więcej. Miłosierdzie wobec człowieka oznaczało dla Kardynała ogarnięcie go całą miłością. On od razu patrzył na całego człowieka, nie tylko na zarażenie ludzkiej biedzie, podstawowym potrzebom, choć to też bardzo ważne.

Nieraz patrząc na niego chciałoby się klęknąć przed nim... Tak był przeorany tą Pełnią, której doświadczał. Czasem ubolewał, że tak jesteśmy uwiązane pracą przy nim, a ja mu mówiłam: mnie nic piękniejszego już nie spotka – oczywiście Pan Bóg wszystko może, nie zamykam się na to, ale przebywanie z tym Człowiekiem to było... wydarzenie.

Podczas fizycznego cierpienia Ksiądz kardynał nigdy się nie skarżył. Oczywiście robiliśmy wszystko, by tego bólu było jak najmniej, żeby Mu go zaoszczędzić – miał już tyle dolegliwości związanych z wiekiem, chorobami... Nigdy się nie skarżył. Przecież miał prawo być już słabszy, mogło się niejedno cisnąć na usta – ale nawet gdy był po operacji i nie miał pełnej kontroli, był w ciężkim stanie, to nawet wtedy nie wyrwało mu się niedelikatne słowo, żeby kogoś dotknąć czy znieważyć. Człowiek wielkiej kultury ducha.

Nigdy ludzi nie osądzał. Nigdy. Przecież nieraz widziałam... powody byłyby różne. Ale nigdy nie słyszałam, by Kardynał kogoś oceniał. Gdy proszono go, by wypowiedział się na różne tematy, najpierw bardzo uważnie słuchał, lubił słuchać. Myśmy ni-





gdy nie powtarzały niesprawdzonych nowinek – że ktoś coś powiedział – bo zawsze chciał wiedzieć konkretnie: gdzie to jest napisane, przez kogo, kiedy. Chciał znać konkrety, precyzyjnie. Ale nigdy nie było oceny.

A jeśli chodzi o „wielkich tego świata”, polityków itp.? Co do spraw Kościoła, świata, osąd miał bardzo jasny. Korzystał z różnych mediów i miał własne zdanie, ale nigdy nikogo nie oceniał, także wtedy, gdy chodziło o ludzi z „innej bajki” politycznej. Nigdy się zresztą nie wiedziało, „za kim” jest. Gdy czasem tak po kobiecemu próbowałam go sprowokować na takie rozmowy, on mówił: „Ja jestem pasterzem wszystkich, nawet je-

śli ktoś jest innej opcji politycznej, ja nie mogę go ocenić, skreślić – jestem pasterzem dla wszystkich”. Dlatego na przykład nikt nie wiedział, na kogo ksiądz Kardynał głosuje. Kiedyś bliski mu dostojnik pyta go: „Na kogo głosowałeś?”. On odpowiada: „Wiesz, na liście było dwóch, na jednego z nich zagłosowałem”. To był cały Kardynał. Przychodzili politycy przeróżni i może nieraz któryś myślał, że głosował na niego – nikt się nigdy nie dowiedział. Niektórzy przed wyborami przychodzili z niepokojem: „Księżę Kardynale, co to będzie...?”. Odpowiadał: „Naród wybierze kogoś takiego, kogo Pan Bóg dopuści. I to będzie *nasz* prezydent. Nawet jeśli to nie będzie



Ostatnie urodziny

ktos, na kogo myśmy głosowali, będzie *naszym* prezydentem, będziemy go szanować, będziemy się za niego modlić, będziemy go wspierać – bo to będzie *nasz* prezydent”. Kardynał w żadne manipulacje nie dał się wciągnąć: „Naród wybrał”. Szacunek do władzy.

Człowiek niezwyklej dyskrekcji. Nigdy, niczym, nikomu nie dał się sprowokować – miał jasne stanowisko, ale nie dał się „przeciągnąć” na jakąś „stronę”. Kiedyś powiedział jedno zdanie – słuchacz-dostojnik zawołał: „Eminencjo, jak nam brakuje takich ludzi, którzy by się tak jasno wypowiedzieli!”. Niezwykła mądrość, odpowiedzialność za Kościół. Nie było

uprawiania ustawiania „swoich” ludzi. Żadnego kierowania się upodobaniami, wydawania opinii pozytywnej „bo go lubię”. Modlitwa, przejęcie, odpowiedzialność.

Kościół ogromnie kochał. Kościół lokalny... Podczas Mszy prawie nigdy nie odmawiał Drugiej, najbardziej popularnej Modlitwy Eucharystycznej; codziennie dobierał inną. A w niedziele, święta i uroczystości była Pierwsza Modlitwa Eucharystyczna i zawsze była to Msza za Kościół krakowski. Za Kościół, a w niedziele zawsze za Kościół krakowski. Gdy widział artykuły o Kościele w różnych mediach, pisane czasem także przez duchownych, niezmiernie to przeżywał. Mó-



wił: „Jeśli się rzuci perłę w błoto, to nie znaczy, że się z tego zrobi koralowiec” – perła nie przestanie być perłą, ale nie wolno rzucać perły w nieczystości, bo to ich w perłę nie przemieni. Miał bardzo klarowny osąd, jeśli chodzi o publikowanie w miejscach, gdzie się występuje przeciwko Panu Bogu czy człowiekowi.

Kardynał miał pełną świadomość. Miał kłopoty z pamięcią historyczną co do szczegółowych dat, ale może Pan Bóg Mu to zabrał, żeby się nie męczył różnymi detalami, które kiedyś były bardzo przykre – a Kardynał wszystko oddał Panu Bogu. Byłam świadkiem takiej modlitwy oddania. Wszystko zostało oddane i nie ma się już o to pretensji.



Kilka razy, przed trzema laty, byłam świadkiem takiej głośnej modlitwy Księdza Kardynała w kaplicy. Był to moment, kiedy czuł się źle (później był w lepszej kondycji). To było wołanie, ale wołanie pełne oddania. Jak usłyszałam, nie mogłam zrobić nawet kroku – to było tak przejmujące, tak... bez jakichkolwiek w czymkolwiek zastrzeżeń. Był całkowicie oddany na wszystko, absolutnie wszystko. Żadnego cofania się przed ofiarą, przed cierpieniem. Czasem w kościele pojawiali się chorzy, którzy wydawali się zagrożający w sensie fizycznym. Gdy o tym mówiono, Ksiądz Kardynał odpowiadał: „Proszę niczego nie or-



ganizować, żadnej ochrony, ja jestem gotowy zginąć w każdym miejscu, a zwłaszcza przy ołtarzu”. Nie było w nim żadnego lęku, cofania się.

Jeśli chodzi o tę kwestię, to miał życie niełatwe, i to zawsze było Jego cierpieniem – chodziło o osoby Mu bliskie. Kardynał bardzo tych ludzi kochał, ale utrzymywał wielki dystans. Kard. Wojtyła swego czasu powiedział mu stanowczo, że bliscy to bliscy, ale Kardynał Franciszek musiał zachowywać całkowitą dyskrecję. W tym wszystkim stał się całkowicie wolny od wszelkich układów. Nie uprawiał żadnego „kolesiostwa”, nie miał żadnego „dworu”. Nie było żadnego przesiadywania, załatwia-

nia, bonusów z racji bliskości. Ale to była wolność, która zaowocowała samotnością. Kardynał był bardzo samotny. Nikomu nic nie „zawdzięczał”. Był bardzo nastawiony na człowieka, ale zupełnie bezinteresownie. A sam – cierpiał ogromnie, całe lata. Ubolewał też bardzo, gdy czyjeś życie pogmatwało się. Niektórzy, patrząc teraz z bliska na cierpienie tych ostatnich tygodni, byli tak wstrząśnięci, że te swoje sprawy poprostowali.

Kiedy podczas peregrynacji wizerunku Pana Jezusa Miłosiernego „Jezu, ufam Tobie” obraz przywieziono tutaj do Sanktuarium Ecce Homo, śmiałam się do Księdza Kardynała:





„Pan Jezus przyjechał do Pana Jezusa!” A Kardynał mówi: „Wiesz, ale gdyby nie było Ecce Homo, to by nie było Pana Jezusa z Łagiewnik, bo to [ofiara] było pierwsze. Gdyby nie to, nie wiedzielibyśmy, jakie jest Miłosierdzie Boże”.

Kardynał miał ogromną miłość do Pana Jezusa Ecce Homo. Zwykle podkreśla się Jego nabożeństwo do Jezusa Miłosiernego, ale ja bym postawiła znak równości, jeśli chodzi o ten kult. Kontemplacja Pana Jezusa Ecce Homo była kluczowa w Jego modlitwie. Miał w domu niezliczoną ilość obrazków „Ecce Homo” – w książkach, w brewiarzu; i to obrazki zużyte, nie tak tylko włożone, lecz używane, trzymane w rękach. Wiele razy widziałam, gdy nie mógł iść do kościoła, jak stał w oknie i modlił się, zwrócony do sanktuarium [„chatka”, w której mieszkał, jest po drugiej stronie dziedzińca, *vis à vis* drzwi wejściowych kościoła].

Mam zachowany wpis w Jego prywatnym kalendarzu w czerwcu 2005 roku, gdy przyszedł tu prosić o pobyt: „Z prośbą u sióstr albertynek o przytułek”. Nie wiem, czy któraś z nas by tak napisała... Ten wpis i książka ks. Michalskiego o Bracie Albercie [z 1946 roku, подарowana mu przez Autora, która miała swoje stałe miejsce na stole] – moim zdaniem nie było tak, że to się stało dzięki Wojtyłce, on Brata Alberta odkrył wcześniej.

Kardynał był bardzo niezależny. To samo co Wojtyła kochał, ale to był inny typ, inne wychowanie. Znali się jako klerycy. Gdy Wojtyła zorganizował swój pierwszy wyjazd z młodzieżą, pojechał właśnie do Kóz, gdzie Macharski był wikariuszem. Kiedy przyszedł dekret o kanonizacji Ojca Świętego, mówię do Księdza Kardynała: „Eminencjo, przyjaciel Eminencji będzie kanonizowany!”. A Ksiądz Kardynał na to: „Wiesz co? Ja nigdy tego słowa nie użyłem... Nigdy! Żeby nie było: przyjaciel-przyjaciel, ktoś-komuś-coś... Żeby nie narazić tej relacji na jakikolwiek szwank. Myśmy wiedzieli o tym wszystkim [o tej przyjaźni], myśmy tym żyli – ale nigdy nikomu nie powiedziałem, że Karol jest moim przyjacielem”.

Kiedy indziej była taka sytuacja – przed kanonizacją – że zadzwonili z mediów i dziennikarz prosił – siostró, niech Ksiądz Kardynał powie coś takiego niewiążącego, zewnętrznego, może zabawnego, z takich zwykłych ludzkich relacji. Powtórzyłam to Księdzu Kardynałowi, a on: „Ale co to znaczy: niewiążącego? Nie było niczego takiego, co miałoby być nie-wiążące. Wszystko było wiążące. Mało tego. Co, ja mam powiedzieć, że to *było*? To cały czas JEST! Ta relacja. Karol nie żyje, ale to nie jest coś, bo *było*, to JEST”. Wymiar świętych obcowania... To było



niesamowite, jak on tęsknił. Gdy słyszał głos Ojca Świętego – czasem puszczaliśmy np. nagrania z pielgrzymek, przemówień do młodzieży itp. – był bardzo poruszony, ale też w znaczeniu tęsknoty za fizycznością tego człowieka.

Ksiądz Kardynał kochał świętych, bardzo. Nawet gdy jeszcze sam gdzieś wyjeżdżał, jeśli było jakieś wspomnienie liturgiczne czy święto, albo rocznica śmierci świętego, zawsze jechał w to miejsce. Nie ogłaszał tego, nie chwalił się, ale zawsze jechał, cichutko, pomodlił się. Nieraz jechaliśmy razem... Bardzo kochał św. Andrzeja Bobolę, od dziecka. Gdy przywieźli jego relikwie do Kra-



kowa – Kardynał miał może sześć-siedem lat – rodzice wyszli z nim koło Barbakanu. Chociaż teraz miał u siebie mały relikwiarz Boboli, to jednak zawsze jechał gdzieś do jezuitów, by tam go uczcić. Podobnie było ze św. Jackiem, innymi krakowskimi świętymi. Miał bardzo osobisty kult, osobistą więź z danym świętym.

(*A Matka Boża...?*) Kiedyś jechaliśmy samochodem, w którym „od zawsze” był obrazek Matki Bożej Kalwaryjskiej. Zapytałam: „Eminencjo, dlaczego Kalwaryjska? Ten obrazek już jest taki sfatygowany, może go wymienimy?” – „Dlatego, że jest najbliższa”. On miał z Nią relację jak dziecko do matki, jakby



Ją trzymał za rękę. Nie był wylewny albo swobodny, ale – ufna relacja, dziecko do Matki.

(*Łagiewniki przed Kalwarią?*) Ksiądz Kardynał mówił, że do Łagiewnik jeździł z rodzicami, tak że nawet nie pamięta dokładnie, kiedy się to zaczęło. Był bardzo przekonany do tego kultu. Nawet gdy ktoś inny nie był przekonany albo był zakaz, Ksiądz Kardynał zawsze wiedział, że to jest prawda. Od dzieciństwa, jeszcze z rodzicami (ojciec zmarł w maju 1945 roku).

Rodzice księdza kardynała byli ogromnie wierzącymi ludźmi. Najpierw jeździli na wakacje do Orłowa nad morze, a bliżej wojny, gdy się już zrobiło niespokojnie, wynajmowali domek w Rabce Zaryte. Był tam pokój dla dzieci – czwórka dzieci, pokój dla rodziców, i zawsze jeden pokój na kaplicę. Ludzie tam pamiętają – gdy Macharscy wynajmowali domek, to w tym domu zawsze jeden pokój był przeznaczony na modlitwę.

(*Zakaz kultu obrazu Bożego Miłosierdzia*) Ksiądz Kardynał opowiadał, że gdy był wikariuszem w Kozach, wisiał tam obraz Pana Jezusa Miłosierdnego w tej pierwszej wersji. Gdy przyszedł zakaz, obraz wyniesiono. Później, gdy Ksiądz Kardynał był już metropolitą, miał tam pojechać na wizytację i poprosił, by go poszukano. Wtedy wikarym w Kozach był obec-

ny biskup Roman Pindel. Gdzieś ze strychu wydobyto obraz i gdy Ksiądz Kardynał przyjechał, obraz już wisiał na bocznym ołtarzu. Ksiądz kardynał zawsze był do tego kultu przekonany, wiedział, że jest on zasadny, a zakaz jest tylko chwilową próbą, spowodowaną jakimś ludzkim tłumaczeniem. Stąd jego biskupie zawołanie: „Jezu ufam Tobie” – przyjęte w czasie, gdy kult był jeszcze zakazany. I tak było. Życie Księdza Kardynała było absolutnie oddane Panu Bogu, tam nie było żadnych ludzkich spekulacji, że coś sobie zorganizuje tak po ludzku. On był absolutnie zdany na wszystko, co Pan Bóg daje. Miał tak wielką ufność...!

(*Pismo Święte*) Miał dwa egzemplarze Pisma Świętego, zawsze mocno zakreślał zdania, które w danym momencie były dla niego ważne. Podczas Mszy świętej nie lubił takich ludzkich dopowiedzeń, wstępów, rozbudowanych komentarzy – „ludzkich ubarwień”. Kiedyś przyszedł ksiądz do koncelebry i Kardynał go poprosił, by nic nie dodawał. Ksiądz mówi do mnie: zrobimy tylko jedno czytanie, bo Ksiądz Kardynał jest zmęczony. Mówię mu: „Nie, Ksiądz Kardynał się nie męczy Słowem Bożym, on się męczy słowem ludzkim, ludzkimi spekulacjami!”

Tego się nie da opisać, opowiedzieć, co myśmy przeżyły, co nam było dane.



Przy trumnie Kardynała Franciszka

bp Grzegorz Ryś

Dla nas wszystkich jest oczywiste, że w tej chwili to my potrzebujemy Słowa Bożego, Kardynał Franciszek go nie potrzebuje. Kardynał rozmawia z Panem Bogiem twarzą w twarz, dla Niego skończył się czas wszystkich potrzebnych nam zapośredniczających dialog z Bogiem znaków, słów... On poznaje Boga tak, jak sam został przez Niego poznany. My potrzebujemy Słowa, które może nas przeprowadzić przez to, co przeżywamy.

Pierwszym słowem Bożym do nas w związku z tą śmiercią jest jej czas. Człowiek nie wybiera czasu swojej śmierci, nikt z nas nie rozporządza sobą w taki sposób. Nikt z nas nie decyduje, kiedy się rodzi, i nikt z nas nie decyduje, kiedy umiera. Ten czas jest wyjątkowy na wiele sposobów. Sama godzina śmierci Księdza Kardynała – dziewiąta trzydzieści siedem. Całe życie szedł za Janem Pawłem... Dziewiąta trzydzieści siedem tak jak dwudziesta pierwsza

trzydzieści siedem. Zawsze po jego śladach – ale na swój sposób. Dziewiąta trzydzieści siedem – na swój sposób.

Od godziny, myślę, że ważniejszy jest jednak dzień. Dziś cały Kościół duchowo jest w pielgrzymce do Porcjunkuli, bo 800 lat temu Franciszek uzyskał od papieża Honoriusza III odpust zupełny dla każdego, kto nawiedzi Porcjunkulę. Nad wejściem do Porcjunkuli jest napis: *Haec est porta vitae aeternae* – „to jest brama życia wiecznego”. Kardynał umarł w Porcjunkuli. Franciszek nie może umrzeć gdzie indziej. Święty Franciszek umarł w Porcjunkuli 10 lat po tym, jak uzyskał ten niezwykły przywilej, że kto wejdzie do tej kaplicy, uzyska odpust zupełny. Kiedy Franciszek wiedział, że przychodzi na niego moment śmierci, prosił, żeby go przeniesiono z San Damiano właśnie do Porcjunkuli; i tam umiera. Biografowie mówią, że umierał śpiewając, położony nago na ziemi. Kardynał Franciszek nie mógł dzisiaj



śpiewać, śpiewaliśmy za niego. W chwili gdy umarł, modliliśmy się modlitwą *Chwała na wysokości Bogu* – w przekonaniu, że właśnie w ten sposób trzeba wejść w tę godzinę: chwała na wysokości Bogu, chwała za to życie, chwała za to umieranie, za to odchodzenie, chwała, chwała na wysokości Bogu... Kardynał Franciszek umarł w drzwiach życia wiecznego, Porcjunkula to drzwi życia wiecznego. Jego imię wypełniło się na Nim w godzinie umierania, w godzinie odchodzenia – Franciszek. Umarł tak, jak Jego patron, w tym samym miejscu.

Porcjunkula zdradza jeszcze coś więcej, mówi nie tylko o pewności życia wiecznego. Franciszek, gdy prosił o ten odpust, był przekonany, że to jest miejsce absolutnego przebaczenia, pełnego usprawiedliwienia przez Jezusa Chrystusa. Tak jak on sam na tym miejscu go doświadczył, tak tego daru pragnął dla wszystkich, którzy tam wejdą. Również 800 lat mija od momentu, gdy Franciszek przy tej kaplicy zebrał ludzi i powiedział: „Moi bracia i moje siostry, chcę was wszystkich wysłać do raju”. W ten sposób ogłosił ten odpust, tę szczególną łaskę dnia dzisiejszego. Wiedział, że nie ma miejsca na wahanie, na wątpliwość – łaską tego dnia jest wejście do raju.

Ten dzień wybrał Bóg. Moment śmierci Kardynała Franciszka jest słowem Boga o tym, co się dzieje. Porcjunkula objaśnia nie tylko nadzieję życia wiecznego, ale też objaśnia życie św. Franciszka, jak i życie Kardynała Franciszka.

Dziś jeszcze z przejęciem czytałem (nikt z nas nie miał gotowego kazania na ten wieczór...), że odpust Porcjunkuli jest znakiem wyboru ubogich. Zanim Franciszek uzyskał tę łaskę, odpust zupełny zyskiwali tylko ci ludzie, którzy mogli się wybrać do Ziemi Świętej. Żeby się tam wybrać, trzeba mieć grosz. A Franciszek żył otoczony ludźmi, którzy nie mieli grosza, nie mieli pieniędzy – mieli doświadczenie bardzo ciężkiego życia. Przez to doświadczenie prowadziła ich wiara, ale poza wiarą, poza nieraz bardzo ciężką pracą i biedą, nie mieli nic do zaoferowania. Prośba św. Franciszka do papieża Honoriusza była prośbą za ubogich. Bo nie może być tak, żeby odpust zupełny w Kościele był dla tych, którzy mają kasę! To był wybór ubogich.

To jest wybór Kardynała Franciszka. Nie chodzi tylko o ostatnie 10 lat, o to, że tutaj zamieszkał i gdy odbywały się jakieś spotkania dla bezdomnych, to albo sam do nich schodził, albo był w oknie i słuchał – nie było momentu, by nie wiedział, co tu się dla ubogich dzieje. Wybór ubogich był Jego wyborem stylu życia. Próbuję policzyć, ile razy widziałem Go w purpurowej sutannie... może na dziesięć razy się złoży. Zawsze czarna sutanna, zawsze najmniejszy z krzyży pectoralnych, zawsze skromny pierścień. Wszystkie inne rozdał. To moje osobiste wspomnienie: pięć lat temu przyszedłem do Niego, a On pyta: – „Po coś przyszedł?”. Mówię: – „Po pierścień”. O On: – „Nie mam”. – „Jak



to Ksiądz Kardynał nie ma? Teraz ma kardynalski pierścień, a ja chcę biskupi”. – „Rozdałem”. – „To idę do domu...” – A krzyża nie chcesz?”. Zawsze chowam krzyż pod ornat, a dziś mam go na wierzchu, dzisiaj nie mogłem go schować. Wszyscy wiemy, że Kardynał żył ubogo. Jego testament ma jedną stronę, jest najprostszy: wszystko jest dla diecezji, wszystko jest własnością tego Kościoła.

To nas prowadzi do Słowa, które słyszeliśmy, że święta Matki Bożej Anielskiej – do Ewangelii o Zwiastowaniu. To jest Słowo o każdym z nas, o tym, że każdy z nas przyjmuje Jezusa, a potem ma Go urodzić. Sam Jezus mówił o tym wyraźnie: każdy z Jego uczniów może

być dla Niego siostrą, bratem i matką. Nikt z nas nie może być dla Jezusa ojcem, ale każdy może być dla Niego matką, kiedy Go przyjmuje i kiedy Go rodzi. Przyjmujemy Jezusa wtedy, kiedy Go jako Słowo słuchamy, bierzemy do serca, rozważamy. A rodzimy wtedy, gdy to Słowo wprowadzamy w czyn, gdy to Słowo przyjęte już nie może być w nas utrzymane, tylko musi się urodzić czynem, musi stać się ciałem. Tutaj Ksiądz Kardynał jest bardzo podobny do Brata Alberta. Brat Albert przyjął Jezusa w obrazie „Ecce Homo” i urodził Go wszystkimi swoimi dziełami miłosierdzia. Kardynał Franciszek przyjął Jezusa w obrazie „Jezu, ufam Tobie”. Łagiewniki były dla Niego pierwszym





punktem duchowym, wcześniejszym niż Kalwaria – sam o tym mówił. Kalwarię kochał, bywał na drózkach, ale pierwszym miejscem były Łagiewniki: „Jezu, ufam Tobie”. To było Jego zwiastowanie, czym jest Słowo Boga, wcielone w Jezusie Chrystusie. Tak Go wziął w siebie, tak Go w siebie przyjął, że potem musiał Go urodzić. Nie chodzi tylko o sanktuarium w Łagiewnikach. Dziś jeszcze czytałem, jak upominał, że nie chodzi o to, by w Łagiewnikach powstał kościół, lecz by powstała szkoła miłosierdzia. Szkoła miłosierdzia... jak Ksiądz Kardynał był nastawiony na ubogich! Wszyscy wiedzą, że to właśnie On mógł w archidiecezji zacząć budować kościoły, zakładać nowe parafie. Jego wielki poprzednik kard. Wojtyła założył dwie parafie – dwie! – komuniści nie pozwolili na więcej. Przyszła wolność i można było zakładać parafie, budować kościoły.



A Kardynał napisał do wszystkich, którzy zaczęli budować kościoły: „to nie jest czas na popisywanie się umiejętnościami artystycznymi, nie chodzi o to, żeby się teraz wyżywać w robieniu wielkich dzieł sztuki... nie zapominajcie o ubogich! Nie zapominajcie o ubogich!”. Nie można było tych zbieranych wtedy z takim trudem pieniędzy przeznaczać na budowy sakralne... „Nie zapominajcie o ubogich”.

Wszyscy byliśmy porażeni tym, w jaki sposób lekarze, cała służba zdrowia odnosi się do Kardynała. Ale też przez cały czas Jego posługi szpitale to były pierwsze adresy, które Kardynał znał. Zawsze był, starał się o nowy sprzęt. Porozmawiajcie z kimkolwiek z krakowskich szpitali, czy ktokolwiek z nich nie zna Kardynała Franciszka. To jest to: jeśli odkryłeś Jezusa, który jest Miłosierny i przyjąłeś Go jako Mi-



łosiernego („Jezu ufam Tobie” to hasło Księdza Kardynała), musisz potem to słowo urodzić jako czyn. Ewangelia Zwiastowania jest kluczem do życia Kardynała Franciszka, jest kluczem do życia każdego z nas. Przyjmujemy Jezusa; czy potrafimy Go rodzić?

Świadectwo. Biskup Jan [Zajac] powiedział, że minęło siedem tygodni [po bytu Księdza Kardynała w szpitalu]. Te siedem tygodni Kardynał był w rękach Boga. Nie potrafię inaczej o tym myśleć, tylko w ten sposób. Wszyscy, którzyśmy u niego bywali, byliśmy bezradni... Stojąc przy łóżku Księdza Kardynała można było słyszeć w sobie rozmaite pytania. Odpowiedź na nie wszystkie była taka sama: Ksiądz Kardynał jest w rękach Boga, i nie może być w lepszych. I to Pan Bóg ostatecznie zadecyduje, kiedy Go do siebie wezwie. Jest coś, co się dzieje na planie duchowym między Panem Bogiem a Księdzem Kardynałem. Ostatni raz odprawiałem Eucharystię u Niego dwa tygodnie temu w niedzielę – w poniedziałek zaczynały się Światowe Dni Młodzieży; Kardynał był jeszcze w bardzo stabilnym stanie. Patrzyłem na tętno; w szpitalu odprawiało się w ten sposób, że wzrok odprawiającego musiał być zwrócony na wszystkie monitory, nie dało się tego ominąć. Kardynał miał cały czas równe tętno, dwa razy skoczyło do stu – przy słowach przeistoczenia. Myślę, że tu jest grono osób bliskich Księdzu Kardynałowi, wiecie, jak On przeżywał Mszę

św. Gdy zobaczyłem to tętno skaczące do setki byłem pewien, że nie jest tak, że nie mamy kontaktu z Księdzem Kardynałem, wszyscyśmy go mieli. On nie był w stanie wiele nam powiedzieć, przekazać, więziony w swojej chorobie, w swojej słabości, ale świadomy i przeżywający wszystko, co się działo wokół Niego. Wtedy też drugim czytaniem mszalnym był fragment Listu św. Pawła do Kolosan: „w moim ciele dopełniam braki udręk Jezusa dla dobra Jego Ciała, którym jest Kościół” (Kol 1, 24). Gdy s. Dolorosa czytała ten tekst, patrzyłem na ciało Kardynała Franciszka i po raz kolejny widziałem Słowo, które znajdowało swoje wypełnienie. Słowo dokładnie o Nim: w swoim ciele dopełnia braki udręk Chrystusa dla dobra Jego Ciała, którym jest Kościół. Dwa tygodnie temu wszyscy byliśmy pełni lęku – co się stanie albo nie stanie, co się wydarzy podczas ŚDM... mobilizacja wszystkich. Sukces ma wielu ojców, teraz wszyscy będą mówić, dlaczego w Polsce było tak a nie inaczej, czemu nic złego się nie stało. Ja mam swoją odpowiedź na to, dlaczego te dni przeszły w ten sposób. Myślę, że wy też ją macie – ona jest tu, w tej trumnie. Kiedy ta miara, która mała być dopełniona, została dopełniona, Pan Bóg – dziś, o 9.37 – powiedział: dość, to już wystarczy, ta miara jest dopełniona. I powiedział: amen.

Ja też na tym miejscu mówię: amen.

Księżę Kardynale, wszyscy Cię Kochamy.



Błogosławiona Bernardyna Jabłońska w homiliach Kardynała Franciszka Macharskiego

s. Michaela Faszczka

Kościół krakowski raduje się w swej bogatej historii obecnością wielu świętych i błogosławionych, a sam Kraków nazwany jest miastem świętych.

Ojciec Święty Jan Paweł II wyniósł do chwały ołtarzy wielu Polaków i Polek, którzy tworzyli i ubogacali swoją świętością oblicze naszego Kościoła. Troską pasterzy Ludu Bożego zawsze było stawianie na świeczniku ludzi, którzy jaśnili blaskiem cnót i pięknem zjednoczenia z Bogiem. Tak została zauważona i dana Kościołowi jako przykład świętości Błogosławiona Siostra Bernardyna Maria Jabłońska.

W Sanktuarium Ecce Homo, gdzie spoczywają doczesne szczątki św. Brata Alberta, znajdują się relikwie naszej Błogosławionej. Tu przy wielu okazjach liturgicznych ks. kard. Franciszek Macharski głosił homilie, w których wiele miejsca poświęcił sylwetce duchowej Siostry Bernardyny. Jeszcze

przed jej beatyfikacją, Pasterz krakowski wskazywał na podobieństwo duchowej drogi św. Franciszka z Asyżu i polskiego biedaczyny z Krakowa św. Brata Alberta oraz św. Klary i Sługi Bożej Bernardyny. Mówił: „Podobna była droga tych czworga. Ten sam Duch Jezusa Chrystusa ich prowadził. Święta Klara z miłości do Jezusa ukryła się w klasztorze i podobnie uczyniłaby Bernardyna, gdyby nie Duch Boży, który dał jej wprawdzie *zaznać* słodyczy i surowości pustelni, ale też popychał ją ku temu, aby szła miłować Jezusa i służyć Mu w siostrach i braciach. W tych najbiedniejszych, najbardziej sponiewieranych, najbardziej niepodobnych do ludzi i niepodobnych – zdawałoby się – do Jezusa. I ona poszła, nikomu nie odmawiając dobra. Takie przecież były jej słowa, jedno z ostatnich, jakie wypowiedziała na ziemi: *Nie odmawiajcie!* – a po



chwili dodała silnym głosem: *Czyńcie dobrze wszystkim*¹. Bo ludziom trzeba dawać absolutnie wszystko”².

O świętej Klarze wielu biografów pisało, że była jasna, a to stąd, że jej matka, będąc w stanie błogosławionym, miała cudowną wizję, że dziecko stanie się *jaśniejącym blaskiem* dla całego świata. Stąd wybór imienia: „Chiara” znaczy jasna, czysta, sławna. Klara rzeczywiście stała się darem nieba dla rodziców i świata. Symbolikę światła podejmuje również ks. kard. Franciszek w swojej homilii wygłoszonej w czasie Mszy świętej sprawowanej w 107 rocznicę założenia Zgromadzenia Sióstr Albertynek. Nasz Pasterz mówił: „Kiedy oni umierali – Brat Albert podczas pierwszej, a siostra Bernardyna w czasie drugiej wojny światowej – na świecie trwała noc. Ale ich śmierć była jak światło, które tę noc oświetliło. Światło Chrystusa! Bo Pan Jezus jest światłem naszych dni i nocy. Tak jasne jest to wasze światło – nasze światło, światło Kościoła. Ono idzie z nami, ono nigdy nie gaśnie. (...) Podczas obu wojen światowych wydawało się, że gaśnie ognisko, którym był święty Brat Albert i którym była błogosławiona Siostra Bernardyna. A przecież ono wciąż płó-

¹ M. Winowska, *Św. Brat Albert. O człowieku, który wybrał większą wolność*, Kraków 1992, s. 277.

² Kard. Franciszek Macharski, *Z Bratem naszego Boga*, Kraków 2015, s. 228.



Fot. Park przy sanktuarium Ecce Homo.
Ze zbiorów s. Dolorosy Kilnar



nęło. Rozpalił je Jezus Chrystus. Kościół rozniecał potem ten płomień, aż wybuchł on kanonizacją Brata Alberta, beatyfikacją Siostry Bernardyny. Na straży owego ognia nie my stoimy, ale Duch Święty, którego Jezus nam posłał i którego tu zostawił, aby był z nami na zawsze. Światło i ogień to dar i zadanie. Przyjmijcie Światłość, która została wam dana i która żyje! Przyjmijcie Ją, bo Światłość Przedwieczna potrzebuje człowieka! Potrzebuje, bo chce go uczynić swoim światłem, tak aby człowiek mógł uczestniczyć w światłości, którą – dla tych, co uwierzyli, i dla całego świata – ma Jezus Chrystus, Światło na oświecenie dusz ludzkich. Brońcie światłości i mądrości, dobra i miłości – w sobie i we wspólnocie. Brońcie ich w duszach ludzkich, żeby ani jednej iskiere miłości i światła nie zgasła obojętność. Moje drogie Siostry, oto dzień światła, dzień Bożej światłości, dzień Bożego zmiłowania. To światło chce do nas przyjść, nie pytając, czy te nasze kaganki, które mają przyjać oliwę, są wystarczająco pojemne. Jakaż to radość móc powiedzieć, że jesteśmy ubodzy jak Nazaret i jak Betlejem. Jesteśmy biedni. A Ty, Panie wybrałeś nas nie ze względu na naszą moc i doskonałość, ale właśnie dlatego, że jesteśmy biedni. Że jesteśmy gotowi od Ciebie przyjmować – jako największe dobro – Twoją mądrość i miłość, i moc. (...) Czujemy radość i dumę w tej na-

szej biedzie i w naszych słabościach. Otrzymaliśmy bowiem cudowny dar, z którym trzeba prędko pobiec do innych i się z nimi dzielić, tak żeby ów dar nie stopniał w naszych dłoniach”³.

Pełne mocy i światła Ducha Świętego słowa naszego Pasterza tak bardzo korespondują z życiem i zachętami wypowiedzianymi przez siostrę Bernardynę: „Wszystko trzeba czynić żywo, gorąco, szybko, dokładnie. Oddać Panu Jezusowi wszystko: biegać, uwiijać się, chwycić oburącz miłość Bożą i bliźniego. Spieszyć się, spieszyć bo wieczność nadciąga”⁴.

Taka służba Bogu i bliźnim wyzwała w niej radość, którą wyraża w słowach: „Co to za szczęście dla nas, że nam Pan Jezus dał za cel prac naszych miłosierdzie co do ciała, a przez czynienie tego, wchodzimy do czynienia miłosierdzia co do duszy. (...) Ileż to błogosławieństw ściągną na Zgromadzenie łzy wdzięczności naszych ubogich, ich modlitwy i słowa dziękczynne”⁵.

Ksiądz Kardynał Franciszek dostrzegał w duchowości św. Brata Alberta i jego duchowej córce Bernardynie gotowość na krzyż, cierpienie, rezygnację ze wszystkiego byleby postępować na drodze zjednoczenia z Chrystusem i być do Niego podobnym. Nasz Pasterz Franciszek karmi

³ Tamże, s. 278-279.

⁴ *Wybór Pism siostry Bernardyny Marii Jabłońskiej*, Kraków 1988, s. 48.

⁵ Tamże, s. 49.



nas tym, czym sam żyje, mówi: „Nie ma innego przygotowania na tę świętą miłość i święte zjednoczenie, jak tylko ten dziwny most, przez który trzeba przejść. A jest nim męka i krzyż Jezusa Chrystusa. Trzeba w nim uczestniczyć. Uczestniczy zaś ten, kto się na krzyżu kładzie, żeby go doń przybito, i ten, kto krzyż ów dźwiga. (...) Matka Bernardyna była wiernym świadkiem Jezusa uniżonego i ogołoconego, umęczonego, ubiczowanego, oplwanego, cierpieniem ukoronowanego i umierającego na krzyżu. To jej świadectwo studiuja, jego się uczą i nim się karmią siostry albertynki. Od Matki Bernardyny uczą się, jak żyć w coraz większej radości, napęniającej człowieka, który oddaje wszystko swoje i samego siebie. Tego mogą uczyć się od niej wszyscy – również ci, którzy nie noszą albertyńskich habitów”⁶.

Życie świętych, którzy mieli odwagę dać całe swoje życie na drodze samarytańskiej posługi, zachwyca. „Myślimy

dziś – mówi ks. kard. Franciszek – o ludziach nam bliskich, którzy dali się przemienić Jezusowi i patrzyli odtąd na świat Jego oczami. Myślimy o świętym Bracie Albercie i błogosławionej Bernardynie. Co się wydarzyło, że podjęli oni decyzję tak nieodwracalną? Najpierw było spojrzenie, a właściwie wymiana spojrzeń. Jezus spojrział na nich – a potem oni spojrzeli na Jezusa. Było to spojrzenie oczami, ale i sercem, umysłem, duszą. Ich decyzja nie wynikała jedynie z obowiązku przestrzegania przykazań. Brat Albert i Bernardyna „coś” zobaczyli – a może raczej: zostali zobaczeni! Ktoś ich zobaczył! – i to przemieniło ich życie. Syn Ojca niebieskiego, Jezus Chrystus, spojrział na nich oczami Boga-Człowieka. Oni zaś temu spojrzeniu się nie oparli. A przecież mogli się oprzeć. (...) Moi drodzy, cała przeszłość człowieka wygląda inaczej, kiedy zaczyna on kochać. Kiedy w sobie i w drugim dostrzeże dziecko Boga, brata Jezusowego, siostrę Jezusową – i swoją siostrę, i swojego brata. Coś takiego właśnie wydarzyło

⁶ *Z Bratem naszego Boga*, dz. cyt., s. 234.



się w życiu Bernardyny. Ona nie tylko zachowała przykazania, ale rzeczywiście zaczęła miłować. Każdy z nas potrzebuje daru Boga, jakim jest miłość i wrażliwość. To znaczy: Jego żywa obecność. Umiejętność widzenia, a nie tylko patrzenia. Umiejętność słuchania potrzebujących – nie tylko ich krzyku, ale i szeptu. Błogosławiona Matko, błogosławiona Siostró Bernardyno, uproś nam u Boga, abyśmy umieli kochać nawet nieprzyjaciół. Uproś nam łaskę Jezusa Miłosiernego, tego Jezusa chwalebnego, abyśmy potrafili kochać. Drodzy, trwajmy przy tych relikwiach Brata Alberta i Siostry Bernardyny, bo one są znakiem ogromnej miłości”⁷.

Rozważając słowa homilii ks. kard. Franciszka, doświadczamy, że są one dla nas jak okna przez które widzimy wyraźniej i bardziej z bliska duchową sylwetkę naszej Błogosławionej Bernardyny. Stajemy też w postawie wdzięczności dla Pasterza, który słuchał swoje owce, miłował i prowadził na żyzne pastwiska. Dziś spogląda na nas z Domu Ojca, do którego odszedł 2 sierpnia w dzień poświęcony Matce Bożej Anielskiej z Porcjunkuli, a ostatnie pożegnanie przy Jego trumnie na Wawelu, odbyło się 5 sierpnia w święto Matki Bożej Śnieżnej, w którym to dniu w 1878 przyszła na świat Maria Jabłońska przyszła Błogosławiona Bernardyna.



⁷ Tamże, s. 282-283.



„Nad rzeką”

Małgorzata Tuszyńska

Z Mediolanu do Polski... Taka była droga kolejnego dzieła Adama Chmielewskiego, który za temat obrał sobie pejzaż z dziećmi nad rzeką. Ten małych rozmiarów obraz jest tak zwanym sztafażem, czyli pejzażem z postaciami ludzkimi. Został wykonany w technice oleju na płycie w latach 1882-84 i obecnie jest własnością braci albertynów w Krakowie. Historia dzieła wskazuje, że dr Mieczysław Skrudlik otrzymał go od księcia Czartoryskiego, który to nabył go w Mediolanie, a następnie w 1943 r. przekazał je do Zakładu im. Brata Alberta w Warszawie przy ul. Grochowskiej.

Podobnie jak w poprzednich dziełach naszego artysty mogę dostrzec zamiłowanie do komponowania nastroju pełnego zadumy i mistycyzmu, który tworzą: kompozycja statyczna i paleta barw – monochromatyczne tło przyrody i pięknie skonstruowane elementy ubioru dzieci stojących w pobliżu rzeki. Sama kompozycja ma cechy typowo statycznej, gdzie przeważają linie poziome horyzontalne (tutaj linie brzegowe rzeki, linia nieba, podziały ziemi między stojącymi dziećmi a brzegiem rzeki). Szczegól-

nie urzeka mnie w tym obrazie (pod względem zastosowanych środków plastycznych) kolorystyka dopełniająca (czyli: kontrastowa) – „prawie jednorodne” tło z wyraźnymi płaszczyznami barwy turkusowej (mieszanka koloru zielonego i podstawowego niebieskiego) i barwy ubioru dzieci – między innymi czerwień makowa (mieszanka pomarańczowego i podstawowego czerwonego). Szeroko kładzione plamy barwne, a jednak nie mogące zakwalifikować się jako laserunek dodają właśnie odczucia, że obraz jest na granicy szkicu malarzkiego i zakończonego dzieła, co też w dalszej kolejności zaprasza mnie – widzącą nie tylko okiem, ale i sercem – do zatrzymania się... otwarciem się na świat Boży, stale obecny w ludzkiej rzeczywistości. Zamykam oczy i widzę: rzeka... Jordan... a nad nią Pan nasz Jezus Chrystus oczekujący na Chrzt od Jana. I czytam w Ewangelii św. Mateusza (3, 13-17), że Pan Jezus przyjął go, „a głos z nieba mówił: To jest mój Syn umiłowany, w którym mam upodobanie”. W tym momencie oddaję swój głos Ojcu świętemu papieżowi Franciszkowi:



„Uniznienie Boga. W tajemnicy Wcielenia Stwórcę identyfikuje się ze stworzeniem. Nieskończony zamyka się w ramach ludzkiej egzystencji. Również ten wymiar misterium Chrystusa znajduje odbicie w chrzcie w Jordanie. Syn Boży pokornie staje przed człowiekiem. Choć jest bez grzechu, staje w jednym szeregu z grzesznikami wyznającymi swoje winy. Sam Jan dostrzega niestosowność tej sytuacji (por. Mt 3, 15). Jeszcze dobitniej widać to w tekście św. Łukasza, gdzie nazywa siebie niegodnym, by rozwiązać Jezusowi rzemyk u Jego sandałów (por. 3, 16). Chrystus przekonuje jednak, że godzi się nam wypełnić wszystko, co sprawiedliwe (por. Mt 3, 15). Boskie rozumienie sprawiedliwości przekracza sposób, w jaki pojmują je ludzie. Można powiedzieć, że dla Boga czymś sprawiedliwym jest umrzeć dla człowieka upokarzającą śmiercią. Owa Chry-

stusowa pokora stała się tematem hymnu z Listu do Filipian (2, 5-11). Św. Paweł przedstawia też Jego późniejsze wywyższenie, które jest konsekwencją uniznienia. Co więcej, można powiedzieć, że dokonało się tu też coś, co wydawało się niemożliwe. W pewnym sensie chwała Boga jeszcze wzrosła. Dobrowolne wyniszczenie Chrystusa – Jego tzw. kenoza – ma być dla każdego chrześcijanina drogowskazem. Pan nie wymaga od wszystkich takiego heroizmu. Ale domaga się pokory”.

W moim sercu pojawia się głośnie pytanie, na które pragnę codziennie odpowiadać sobie w wieczornym rachunku sumienia: Co zrobiłam z łaską swojego Chrztu świętego? Wyrażam ogromną nadzieję, że Matka mojego Pana Najświętsza Maryja pomoże mi w tym, zwłaszcza w modlitwie różańcowej i pierwszej tajemnicy światła: „Chrzest Pana Jezusa”.



*Konkurs literacki TPBA Jan Ochmański Klasa VI a
Opiekun naukowy: mgr Lidia Lisowska-Sukiennik
Szkoła Podstawowa nr 1 im. Władysława Sebyły w Kłobucku*

Odzyskany

Hej, pamiętniku!

Wiosna – ale tylko ta kalendarzowa. Nie ma słońca, od kilku dni pada deszcz i jest bardziej jesiennie niż wiosennie. I właśnie taka pogoda przypominać mi będzie tamto spotkanie. Też wiał przenikliwy, ostry wiatr. Wracałem ze szkoły szczęśliwy, że za chwilę schronię się w moim ciepłym, przytulnym domu. Mama jak zawsze będzie czekać z ciepłym obiadem. Jeszcze tylko kilka metrów i już będzie ciepło i dobrze. Doszedłem do bramy domu i zobaczyłem go. Siedział przy furtce zziębnięty, skulony i cały drżał. Nie bał się mnie. Tylko spojrzał tak, że tego spojrzenia nie zapomnę do końca życia. Była w nim rozpacz, ból i coś, co nie pozwoliło mi go zostawić. To coś, to wiara, że mu pomogę. Szybko pobiegłem po mamę i razem zabraliśmy go do domu. Był tak słaby, że nie protestował, gdy braliśmy go na ręce. Zamieszkał w garażu. Miał

tam swoje posłanie, miski – zawsze napełnione i poczucie bezpieczeństwa, że nic mu już nie grozi. Pokochałem go i starałem się z nim zaprzyjaźnić. Ze szkoły wracałem jak wariat, byle tylko szybciej zobaczyć go i wyjść na wspólny spacer. Poprawiłem oceny, bo to był warunek postawiony przez rodziców, że on zostaje, ale ja podciągam się w nauce. Już nie byłem sam. Miałem z kim się bawić, ale i komu wyżalić i opowiedzieć o swoich małych problemach. Miałem przyjaciela!

Wszystko było pięknie – on rósł, zaakceptował nas i zadomowił się. Był bezpieczny, nie miał się już czego obawiać. Myślałem, że jest z nami szczęśliwy. Nie wiedziałem, że to pozorne szczęście. Jego oczy były smutne, jakby cały czas za kimś tęsknił. Merdał ogonem, bawił się, cieszył się na mój widok, ale czasami w oczach pojawiała się to coś.



I stało się, któregoś dnia zniknął. Szukałem go wszędzie. Każdy zakątek okolicy przeszukałem z tatą. Porozwieszaliśmy ogłoszenia, wyznaczaliśmy nagrodę za znalezienie go. Nic. Przepadł jak kamień w wodę. Rozpaczaliśmy bardzo. Rodzice proponowali, że kupimy innego, ale ja chciałem tylko jego. Przeszła jesień, nastąpiła zima. Świat otulił biały puch. I wtedy stał się cud. Po tygodniach bezowocnych poszukiwań, gdy już straciłem nadzieję na odnalezienie go, pojawił się. Przyszedł tak jak kiedyś, pod furtkę, ale nie był sam. Towarzyszył mu starszy mężczyzna. Zobaczył ich tata. I jestem mu bardzo wdzięczny, że mimo tego, że nie znał obcego mężczyzny, otworzył przed nim drzwi naszego domu. Potem mówił, że przecież przed sercem nie zamyka się drzwi.

A nasza zguba nie przyprowadziłaby do nas nikogo złego. Wtedy uświadomiłem sobie, jak często nie dostrzegamy człowieka w drugim człowieku. Jak boimy się zaufać. Pomóc. Dać siebie innym. Gdyby moi rodzice nie okazali wtedy zaufania, byłbym uboższy o pewne ludzkie wartości, miłość i odpowiedzialność. Jestem im niezmiennie wdzięczny, że nie bali się pomóc. Nie bali się otworzyć drzwi naszego domu. Podzielić się tym, co sami mają. Nie bali się zaufać.

Starszy pan przyjął naszą pomoc. Zamieszkał z nami. Opowiedział nam też swoją historię. Kiedyś miał wszyst-

ko: dom, rodzinę. Kochał i był kochany. Nie musiał liczyć się z pieniędzmi. Jednak chciał coraz więcej i więcej. Tak był pochłonięty tym zarabianiem, że przestał mieć czas dla rodziny. Nie pamiętał o urodzinach syna, nie miał czasu, by obejrzeć szkolne przedstawienie córki. Ciągłe w biegu, ciągle było mu mało. Nie potrafił się zatrzymać. Nie uśmiechał się, nie widział nikogo i niczego poza mamoną. „Mieć” stało w jego hierarchii przed „być”. Opamiętanie przyszło zbyt późno. Rodzina nie chciała już takiego ojca. Wyjechali za granicę. On sam trafił na nieuczciwego współnika i stracił cały majątek. W jednej chwili stał się bezdomny. Nie miał domu, nie miał rodziny, nie miał pracy. Został z niczym i sam. Tułał się po znajomych, ale i oni w końcu zaczęli go unikać. Był już nikomu niepotrzebny. Nie miał pieniędzy, układów, więc po co się z nim zadawać. Zamieszkał w starym, opuszczonym domu na skraju miasta. Tam zaprzyjaźnił się z pewnym kudłatym znajdą. Gdy zachorował i trafił do szpitala, wtedy jego czworonożny przyjaciel i towarzysz pojawił się w moim życiu. Gdy jego pan wrócił ze szpitala, wyczuł to jakimś szóstym zmysłem i opuścił nasz dom. Z nadejściem zimy i mrozów przyprowadził go do naszego domu, bo wiedział, że tu znajda nie tylko dach nad głową, ale i miłość, godność i szacunek, pomoc i bezpieczeństwo. Czas dla innych i od innych.



Dziś, gdy piszę te słowa, pamiętniku, wiem, że tamto jesienne wydarzenie zmieniło wiele w życiu mojej rodziny. Pan Stefan zamieszkał z nami. Pod naszym dachem odnalazł miłość i drugą rodzinę. Nawiązał utracony kontakt ze swoimi bliskimi. Naprawił to, co kiedyś zepsuł. Zrozumiał, że bez rodziny i miłości człowiek traci człowieczeństwo i swoją godność. Zostaje sam! A samotność to straszna rzecz i najgorsze, co może się człowiekowi przydarzyć. Samotność i brak dachu nad głową.

Ja zyskałem „przyszywanego» dziadka i przyjaciela – kudłatego, czworonożnego przyjaciela. Jordan, dziękuję ci, że wtedy właśnie przy moim domu szukałeś bezpiecznej przystani!

Nauczyłem się doceniać poświęcenie innych. To, że zawsze czeka

na mnie ciepły obiad, że mam gdzie i do kogo wrócić. Doceniam to, że ktoś się o mnie martwi i troszczy, że nie marznę i nie moknę. Mam gdzie mieszkać, mam rodziców, poczucie bezpieczeństwa. Wcześniej było to takie oczywiste, dopiero tamto wydarzenie zmieniło moje spojrzenie na świat. Doceniam trud i pracę innych. Teraz, pamiętniku, łatwiej zebrać mi się, by pomóc innym. Rzadko mówię wygodne, ale puste słowo „zaraz”. Priorytetem stało się dla mnie słowo „już”. Nauczyłem się odpowiedzialności, ale też, że bez poczucia miłości i bezpieczeństwa wali się cały świat. Bardzo łatwo to stracić. Gdy się nie dba o miłość, trudno jest nadrobić utracony czas. Proste trzyliterowe słowo „dom” daje solidne zaplecze na całe życie.





Rozważanie podczas koncertu uwielbienia w wigilię uroczystości Bożego Ciała na Rynku Głównym w Krakowie 23 maja 2016 r.

Brat Albert od Chleba

bp Grzegorz Ryś

Gdy Jezus wysiadł, ujrzał wielki tłum. Zlitował się nad nimi, byli bowiem jak owce nie mające pasterza. I zaczął ich nauczać. A gdy pora była już późna, przystąpili do Niego uczniowie i rzekli: „Miejsce jest puste, a pora już późna. Odpraw ich. Niech idą do okolicznych osiedli i wsi, a kupią sobie coś do jedzenia”. Lecz On im odpowiedział: „Wy dajcie im jeść!” Rzekli Mu: „Mamy pójść i za dwieście denarów kupić chleba, żeby im dać jeść?” On ich spytał: „Ile macie chlebów? Idźcie, zobaczcie!” Gdy się upewnili, rzekli: „Pięć i dwie ryby”. Wtedy polecił im wszystkim usiąść gromadami na zielonej trawie. I rozłożyli się, gromada przy gromadzie, po stu i po pięćdziesięciu. A wzięwszy pięć chlebów i dwie ryby, spojrzał w niebo, odmówił błogosławieństwo, połamał chleby i dawał uczniom, by

kładli przed nimi; także dwie ryby rozdzielił między wszystkich. Jedli wszyscy do sytości, i zebrali jeszcze dwanaście pełnych koszów ułomków i ostatek z ryb. A tych, którzy jedli chleby, było pięć tysięcy mężczyzn.

Mk 6, 34-44

Ufam, że wszyscy jesteście pobłogosławieni tym Słowem i obecnością Jezusa w Słowie.

Pan Jezus mówi do uczniów: „Wy dajcie im jeść”. To Słowo przepięknie przywołuje do naszej wspólnoty człowieka, który zmarł niemal 100 lat temu – rocznica będzie w Boże Narodzenie.

Brat Albert – tu w Rynku, gdzie dochodzi ul. Szczepańska, każdego dnia przychodził około godziny 11-tej, dlatego, że tutaj chłopci z okolicznych wsi krakowskich mogli sprzedawać pieczony przez siebie chleb. Czego nie sprzedali do godz. 11-tej, Brat Al-



bert zabierał do swojego przytuliska. Gdyby trzeba było Brata Alberta jakoś nazwać, pewnie by go nazwano: św. Brat Albert od Chleba. Nieraz w zakonach dodaje się takie imię, np. św. Teresa od Dzieciątka Jezus. Wszyscy wiedzą, że Brat Albert mówił: „Trzeba być dobrym jak chleb”. Pierwszy raz powiedział to jeszcze podczas studiów malarskich w Warszawie (w Krakowie dobrze jest przywołać coś dobrego z Warszawy) – w domu swego przyjaciela malarza Stanisława Witkiewicza. Powiedział to o jego mamie: „Pani Witkiewiczowa jest dobra jak chleb”.

Brat Albert idąc coś załatwić do prezydenta miasta albo biskupa krakowskiego niósł zawsze „łapówkę” – chleb, świeżo upieczony przez albertynki. Miał wielkie wyczucie ważności chleba. Kiedy do ogrzewalni przychodził nowy bezdomny, Brat Albert wydawał zawsze to samo polecenie: „Dajcie mu chleba”. Dopiero jak mu dali chleba, mogły się dziać dalsze rzeczy, np. prowadzono go do łaźni, żeby się wymył, a potem dawano mu ubranie, żeby się ubrał jak człowiek. A potem prowadzono go do warsztatu pracy, bo często było tak, że już nie pamiętał, jak



Fot. Aneta Żurek





się pracuje. A potem przypominano mu pacierz i 10 przykazań. W takiej kolejności. Brat Albert miał takie wy-czucie, że jak dajesz komuś chleb, to jest to zapowiedź kolejnych darów: następnych, i następnych, i następnych. Ten, kto otrzymuje od ciebie chleb, może się spodziewać, że dostanie coś jeszcze znacznie poważniejszego. Na końcu tego dawania chleba – całego tego procesu – jest to, że się *stajesz* jak chleb. Brat Albert stał się jak chleb wtedy, kiedy zamieszkał z bezdomnymi Krakowa, w krakowskiej ogrzewalni, która stała się wtedy przytuliskiem – przestała być tylko ogrzewalnią.

Przeżywamy Jubileusz Miłosierdzia. Brat Albert pomaga nam zrozumieć w Roku Miłosierdzia, czym jest Eucharystia, czym jest chleb. Dlaczego Chrystus zostawił się w formie chleba? Ta Ewangelia to pokazuje. Ile macie chlebów? Chrystus nie wychodzi naprzeciw wszystkich potrzeb człowieka, ale wychodzi naprzeciw potrzebie absolutnie fundamentalnej, zasadniczej. „Ile macie chlebów?” Nie pytał apostołów, czy mają cukierki albo kremówki. Pytał, ile mają chleba, wiedział, że musi ludziom dać chleb.

Mam przy sobie wstrząsającą książkę – *Sny obozowe*. Jest w niej zapisanych kilkaset snów ludzi, którzy przeżyli obóz koncentracyjny w Auschwitz. Są wśród nich sny o jedzeniu – nikt się temu nie dziwi, ponieważ więźniowie żyli w skrajnym głodzie. Wszystkie

sny o jedzeniu są o chlebie. Ci ludzie mówią: „nigdy mi się nie śniły żadne smakołyki”. Mieli tylko dwa sny o jedzeniu – albo śnił się chleb, albo ziemniaki. Nigdy nic wyszukanego. Mogli wieczór wcześniej gadać o tym, czego to w życiu nie jedli, jakie fantastyczne dania – ale i tak, po takiej rozmowie o wszystkich możliwych potrawach, śnił im się chleb.

Jezus jest z nami jak chleb. Ten chleb ma tyle znaczeń, co u Brata Alberta. Zaczynasz od „dajcie mu chleba”, ale za tym idzie wszystko, co ten chleb zapowiada. Na końcu jest dar osoby.

Dar osoby: dajesz siebie, jeśli się stałeś jak chleb. I to jest w Jezusie Chrystusie. Jezus zaczyna od tego, że daje nam chleb, to znaczy dba o nasze potrzeby – kiedy jestem głodny, daje mi chleb. Ale potem ten chleb odsłania przed nami cały szereg nowych znaczeń. Papież Innocenty III 800 lat temu zastanawiał się, dlaczego Jezus rozmnożył pięć chlebów. Pisz tak: pierwszy – chleb materialny. Drugi – chleb duchowy. Trzeci – chleb doktryny, nauki – prawdy. Czwarty – chleb sakramentalny. A piątym jest sam Jezus Chrystus. Pierwsze cztery są chlebami, które dostajemy w drodze, a ten piąty dostajemy u celu.

Święto Bożego Ciała jest świętem chleba, który Chrystus bierze w ręce i nam daje. Najpierw daje nam chleb, który syci nasz głód. Nie wolno tego poziomemu przeskoczyć, nie wolno nie



dać ludziom tego chleba. Ale potem daje nam chleb duchowy – piękno, na przykład piękno śpiewu, sztuka, obraz. Ale też chleb duchowy, jakim jest wspólnota, przyjaźń. Możecie bez tego żyć? Nie. Chrystus nam to daje. Potem daje nam chleb, który jest nauczaniem: chleb prawdy. Kiedyś ks. Tischner opowiadał, że rozmawiał w sierpniu '80 w Gdańsku ze stoczniowcem, który powiedział mu: „mogę jeść sam chleb i popijać go wodą, tylko żeby mnie wreszcie przestali okłamywać”. Prawda jest chlebem, którego potrzebujemy. To są trzy chleby, które prowadzą nas do czwartego: do chleba sakramentalnego, do Eucharystii. A na końcu jest jeden jedyny Chleb, który nas nasyci – Jezus Chrystus. Sam, bez żadnych znaków pośredniczących, w takiej jedności, w takiej Komunii, która jest nie do wypowiedzenia, nie do przekazania.

Pięć chlebów, święto chleba – Brat Albert to pokazuje. Gdy dajesz komuś chleb, zaczynasz od tego, że sycisz jego głód – „dajcie mu chleba”, ale potem dajesz mu dary duchowe, dajesz mu słowo, które go uczy, prowadzisz go do Eucharystii i ostatecznie otwierasz go na komunię z Jezusem. Jezus chce w taki sposób być w chlebie, Jezus w taki sposób jest obecny. To jest święto Bożego Ciała, jedne z najważniejszych świąt, jakie możemy przeżyć. Święto, w którym odkrywamy, jak Chrystus zna nasze potrzeby, jak na nie reaguje. To nie uczniowie zareagowali, to Jezus mówi: „Żal mi tych ludzi, są głodni! Dajcie im jeść!”. Nie dał się zbyć, kiedy uczniowie mówili Mu: „skąd my na to weźmiemy kasy?”. Nie dał się zbyć – „dajcie im jeść!”. I za tym przychodzi Jego wieloraka obecność w chlebie.





Maria Szafran, kl. I gimnazjum, opiekun: Małgorzata Mejer

Gimnazjum nr 14 im. Hugona we Wrocławiu

Konkurs: „Dom, rodzina, miłość - utrata tych wartości to bezdomność”

Do rodziny

Jak oddzielić życie od wegetowania?
 Jak dostrzec realia, bez wyobrażania?
 Jak odróżnić prawdę od swojej nadziei?
 Jak spojrzeć głęboko - poznać to, co dzieli?

Jak pozostać w cieniu? Nie szukać uznania?
 Jak pokonać słabość? Spróbować kochania?
 Jak zaprzestać walki, skłonić broń do ziemi?
 Jak zachować siłę zostawszy samemu?

Jak opatrzyć ranę, którą się zadało?
 Jak przystanąć w biegu chociaż czasu mało?
 Jak zobaczyć także swoje własne błędy?
 Jak pokonać razem życiowe zakręty?

Jak uczynić dobrze podczas błędu tłumów?
 Jak usłyszeć kogoś podczas tego szumu?
 Jak ważne i piękne zostawić potomnym?
 Jak ocalić siebie? Nie zostać bezdomnym?

ŚDM u albertynek na Woronicza
 więcej s. 5





„Nad rzeką”

mal. Adam Chmielowski (św. Brat Albert)

olej, płótno, 15 x 25 cm.

r.1882-84

wł. bracia albertyni w Krakowie

Dr Mieczysław Skrudlik otrzymał obraz od swego przyjaciela ks. Czartoryskiego, który nabył go w Mediolanie, a w 1943 r. przekazał do Zakładu im. Brata Alberta w Warszawie, przy ul. Grochowskiej; uratowany z zawieruchy wojennej przez br. Anioła, który w 1946 r. przywiózł go do Krakowa. Na odwrocie nalepiono notatkę: „Niniejszym oświadczam, że autentyczność znajdującego się na odwrocie obrazu jako dzieła Adama Chmielowskiego (Brata Alberta) nie ulega żadnej wątpliwości.